**ŻOŁNIERZ**

Wrócił żołnierz na wiosnę z wojennej wyprawy,  
Ale bardzo niemrawy i bardzo koślawy.  
  
Kula go tak schłostała po nogach i bokach,  
Że nie mógł iść inaczej, jak tylko w poskokach.  
  
Stał się smutku wesołkiem, skoczkiem swej niedoli,  
Śmieszył ludzi tym bólem, co, tak skacząc, boli.  
  
Śmieszył skargi hołubcem i żalu wyrwasem  
I żmudnego cierpienia nagłym wywijasem.  
  
Zwlókł się do swej chałupy: — „Idź precz popod płoty,  
„Niepotrzebny nam skoczek w polu do roboty!”  
  
Pobiegł do swego kuma, co w kościele dzwonił,  
Lecz ten nie chciał go poznać i kijem postronił.  
  
Podreptał do kochanki, a ta się zaśmiała  
Ramionami, biodrami, wszystką mocą ciała!  
  
— „Z takim w łożu drygałą mam tańczyć do śmierci?  
„Ciała ledwo ćwierć miary, a skoków — trzy ćwierci!

„Ani myślę ci dotrwać w takim niedopląsie!  
„Ani myślę wargami sypiać na twym wąsie!  
  
„Zanadtoś mi wyskoczny do nieba na przełaj!  
„Idź-że sobie gdziekolwiek i nie klnij i nie łaj!”  
  
Więc poszedł do figury, co stała przy drodze:  
— „Chryste, nawskroś sosnowy, a zamyśl się srodze!

„Nie wiem, czyja cię ręka ciosała wyśmiewna,  
„Lecz to wiem, że skąpiła urody i drewna.  
  
„Masz kalekie kolana i kalekie nogi,  
„Pewno skaczesz, miast chodzić, unikając drogi?  
  
„Taki z ciebie chudzina, takie nic z obłoków,  
„Że mi będziesz dobranym towarzyszem skoków.”  
  
Chrystus, słysząc te słowa, zsunął się na ziemię,  
Ów, co Boga wyciosał, bity bywał w ciemię!  
  
Obie ręce miał lewe, obie nogi — prawe,  
Sosnowemi stopami podziurawił trawę.  
  
„Marna ze mnie sośnina, lecz piechur nie marny,  
„Przejdę wieczność piechtami, chociażem niezdarny.  
  
„Pójdziemy nierozłącznie, bo wspólna nam droga,  
„Będzie nieco człowieka, będzie nieco Boga.  
  
„Podzielimy się męką — podzielnać jest męka! —  
„Wszak ta sama nas ludzka skoślawiła ręka.

„Tobie trocha śmieszności, mnie śmieszności trocha,  
„Kto się pierwszy zaśmieje — ten pierwszy pokocha.  
  
„Ty podeprzesz mię ciałem, ja ciebie sośniną,  
„A co ma się nam zdarzyć, niech się zdarzy ino!”  
  
I wzięli się za ręce i poszli niezwłocznie,  
Wadząc nogą o nogę śmiesznie i poskocznie.  
  
I szli godzin wieczystych niewiadomo ile,  
Gdzież bo owe zegary, co wybrzmią te chwile?

Mijały dnie i noce, którym mijać chce się,  
I mijało bezpole, bezkrzewie, bezlesie.  
  
I nastała wichura i ciemność bez końca  
I straszna nieobecność wszelakiego słońca.  
  
Kto tam z nocy na północ w burzę i zawieję  
Tak bardzo człowieczeje i tak bożyścieje?  
  
To dwa boże kulawce, dwa rzewne cudaki  
Kuleją byle jako w świat nie byle jaki!  
  
Jeden idzie w weselu, drugi w bezżałobie,  
A obydwaj nawzajem zakochani w sobie.  
  
Kulał Bóg, kulał człowiek, a żaden — za mało,  
Nikt się nigdy nie dowie, co w nich tak kulało?  
  
Skakali jako trzeba i jako nie trzeba,  
Aż wreszcie doskoczyli do samego nieba!

**PUŚCIŁA PO STOLE SWAWOLĄCY WIANEK**  
  
  
Puściła po stole swawolący wianek.  
«Kto go chwyci pierwszy — ten mój ukochanek!»  
  
Pochwycił tak ściśle, aż się kwiaty zwarły.  
«Skąd ty jesteś rodem?» — «Ja rodem — umarły!»  
  
«Co się stało wokół, że świat mi się mroczy?» —  
«To ja własnoręcznie zamykam ci oczy»...  
  
«Już mnie nigdzie niema i nigdy nie będzie!» —  
«Niema ciebie nigdzie, bo już jesteś wszędzie.»

**PRZECHODZIEŃ**  
Zgony liljowe w pustce nad drogą,  
I nic — i bezbrzeż traw!  
Do traw bezbrzeży i do nikogo  
Wołałem: „Zbaw mnie, zbaw!“  
  
A szedł przechodzień... Nie wiem, dlaczego  
Dłonią mi podał znak.  
Może pomyślał, że to do niego,  
Do niego wołam tak!  
  
A była cisza, jakby świat minął, —  
Trwał jeszcze słońca brzeg, —  
A on na ciszę oczami skinął,  
Zrozumiał coś i rzekł:  
  
— „Nie mam ni chleba, ni sił, ni domu!  
Jak ty, — bez jutra łkam.  
To — ja, nieznany z klęski nikomu!  
To — ja! Ten sam, ten sam!  
  
Śmierć moja w jarach namiot rozpina.  
Zagrodę — spalił wróg.  
Gdy przedostatnia bije godzina,  
Sny niszczy Bóg, sam Bóg!

Lecz ufam jeszcze jednemu snowi,  
Że się wypełni wczas!  
Cokolwiek zorza w tym śnie zróżowi,  
Podzielę między nas!“

I przysiągł wierność mojej żałobie  
Na wszystkie życia dnie!  
I dłonie, dłonie podał mi obie,  
I zbawił, zbawił mnie!

**DZIEWCZYNA**

Dwunastu braci, wierząc w sny, zbadało mur od marzeń strony,  
A poza murem płakał głos, dziewczęcy głos zaprzepaszczony.  
  
I pokochali głosu dźwięk i chętny domysł o Dziewczynie,  
I zgadywali kształty ust po tym, jak śpiew od żalu ginie...  
  
Mówili o niej: „Łka, więc jest!” — I nic innego nie mówili,  
I przeżegnali cały świat, — i świat zadumał się w tej chwili...  
  
Porwali młoty w twardą dłoń i jęli w mury tłuc z łoskotem!  
I nie wiedziała ślepa noc, kto jest człowiekiem, a kto młotem?  
  
„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!” —  
Tak, waląc w mur, dwunasty brat do jedenastu innych rzecze.  
  
Ale daremny był ich trud, daremny ramion sprzęg i usił!  
Oddali ciała swe na strwon owemu snowi, co ich kusił!  
  
Łamią się piersi, trzeszczy kość, próchnieją dłonie, twarze bledną...  
I wszyscy w jednym zmarli dniu i noc wieczystą mieli jedną!  
  
Lecz cienie zmarłych — Boże mój! — nie wypuściły młotów z dłoni!  
I tylko inny płynie czas — i tylko młot inaczej dzwoni...

I dzwoni wprzód! I dzwoni wspak! I wzwyż za każdym grzmi nawrotem!  
I nie wiedziała ślepa noc, kto tu jest cieniem, a kto młotem?  
  
„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!” —  
Tak, waląc w mur, dwunasty cień do jedenastu innych rzecze.

Lecz cieniom zbrakło nagle sił, a cień się mrokom nie opiera!  
I powymarły jeszcze raz, bo nigdy dość się nie umiera...  
  
I nigdy dość, i nigdy tak, jak tego pragnie ów, co kona!...  
I znikła treść — i zginął ślad — i powieść o nich już skończona!  
  
Lecz dzielne młoty — Boże mój! — mdłej nie poddały się żałobie!  
I same przez się biły w mur, huczały śpiżem same w sobie!  
  
Huczały w mrok, huczały w blask i ociekały ludzkim potem!  
I nie wiedziała ślepa noc, czem bywa młot, gdy nie jest młotem?  
  
„O, prędzej skruszmy zimny głaz, nim śmierć Dziewczynę rdzą powlecze!” —  
Tak, waląc w mur, dwunasty młot do jedenastu innych rzecze.  
  
I runął mur, tysiącem ech wstrząsając wzgórza i doliny!  
Lecz poza murem — nic i nic! Ni żywej duszy, ni Dziewczyny!  
  
Niczyich oczu, ani ust! I niczyjego w kwiatach losu!  
Bo to był głos i tylko — głos, i nic nie było, oprócz głosu!  
  
Nic — tylko płacz i żal i mrok i niewiadomość i zatrata!  
Takiż to świat! Niedobry świat! Czemuż innego niema świata?

Wobec kłamliwych jawnie snów, wobec zmarniałych w nicość cudow[[1]](https://pl.wikisource.org/wiki/Dziewczyna_(Le%C5%9Bmian)" \l "cite_note-1),  
Potężne młoty legły w rząd na znak spełnionych godnie trudów.  
  
I była zgroza nagłych cisz! I była próżnia w całem niebie!  
A ty z tej próżni czemu drwisz, kiedy ta próżnia nie drwi z ciebie?

**DZIEŃ SKRZYDLATY**  
Rozwidniły się w słońcu dwie otchłanie — dwa światy, —  
Myśmy byli — w obydwu... A dzień nastał skrzydlaty.  
  
Nikt nie umarł w dniu owym, — nie zataił się w cieniu...  
I pamiętam, żem myślał o najdalszym strumieniu.  
  
Nie mówiłaś nic do mnie, lecz odgadłem twe słowa.  
A on — zjawił się nagle... Zaszumiała dąbrowa.  
  
Taki — drobny i nikły... I miał — ciernie na skroni.  
I uklękliśmy razem — w pierwszej z brzegu ustroni.  
  
W pierwszej z brzegu ustroni, — w pierwszej kwiatów powodzi.  
I zdziwiło nas bardzo, że tak biednie przychodzi.  
  
Ubożeliśmy chętnie — my i nasze zdziwienie...  
A on — patrzał i patrzał... Cudaczniało istnienie...  
  
Zrozumieliśmy wszystko! — I że właśnie tak trzeba!  
I że można — bez szczęścia... I że można — bez nieba...

Tylko drobnieć i maleć od nadmiaru kochania.  
A to była — odpowiedź, i nie było — pytania.

I już odtąd na zawsze przemilczeliśmy siebie,  
A świat znów się stał — światem... I czas płynął po niebie.  
  
I chwyciłaś źdźbło czasu, by potrzymać je — w dłoni,  
A on — patrzał i patrzał... I miał — ciernie na skroni.

**Z DZIENNIKA I**

Szumią ptaków loty  
Łąk szeleszczą runa  
W słońcu pożar złoty  
A na rzece łuna

Co za wonność płynie  
Co za cisza w niebie  
Nie płacz świat nie zginie  
Gdy mu zbraknie ciebie

Straszny w polu zagrzmiał jęk  
Jak żałosny burzy szczęk  
A to motyl blady łka  
Załamując skrzydła dwa

Oj ze czterech świata stron  
Przyszedł do mnie zimny zgon  
I uwiędnie niby kwiat  
Marzeń moich cały świat

Oj ponieście trupa w las  
I postawcie nad nim głaz  
I postawcie nad nim głaz  
I zapłaczcie wszyscy wraz

A wyryjcie napis tam  
U zamkniętych śmierci bram  
Że w tym grobie śpiący cień  
Był motylem kilka mgnień

**WE ŚNIE**

Śnisz mi się obco. Dal bez tła,  
Wieczność się w chmurach błyska.  
Lecimy razem. Mgła i mgła!  
Bóg, ciemność i urwiska.  
  
Do mgły i mroku naglisz mnie  
I szepcesz, zgrzana lotem:  
— „Toć ja się tobie tylko śnię!  
Nie zapominaj o tem“...  
  
Nie zapominam. Mkniemy wzwyż  
Do niewiadomej mety.  
O, jak ty trudno mi się śnisz!  
O, jawo moja, gdzie ty?

**RÓŻA**  
  
Czym purpurowe maki  
Na ciemną rzucał drogę?  
Sen miałem, ale — jaki? —  
Przypomnieć już nie mogę.  
  
Twojeż to były usta?  
Mojeż to były dłonie?  
Głąb’ sadu mego — pusta,  
We wrotach — księżyc płonie.  
  
Dni się za dniami dłużą,  
Noce — w jeziorach witam...  
Kiedy ty kwitniesz, różo?  
— »Ja nigdy nie zakwitam«...  
  
— »Ja nigdy nie zakwitam«...  
Twójże to głos, o, różo?  
Słowo po słowie chwytam,  
Dni się za dniami dłużą...

**PO ŚMIERCI**  
  
  
W przestworów niepokoje  
Chmur spodem, niebios dnem  
Lecimy obydwoje  
Pośmiertnym gnani snem.  
  
  
— „Jakież tu inne kwiaty!  
— Inny las!“  
To nie te jeszcze światy,  
I jeszcze nie ten czas...  
  
Trzeba nam dalej płynąć,  
Za kresem ścigać kres,  
I w śmierci się rozminąć  
I spotkać się wśród łez.

Zmęczonym — dłuższa droga, —  
Zmęczonym — krótszy zgon.  
— „Widziałeś go?...“ „Czy Boga?“ —  
— „Był tutaj“. — „To — nie on!  
  
To — gwiazd naokół czaty,  
Co śledzą śmierć i nas, —  
To nie te jeszcze światy  
I jeszcze nie ten czas“...

**W SŁOŃCU**  
  
  
Jastrzębi śledząc lot,  
Jezioro ciszę wdycha.  
Zwiesza się po za płot  
Spylona rozwalicha.  
  
W kałuży, śladem kół  
Porysowanej w żłoby,  
Tkwi obłok, brzozy pół  
I gęsi rdzawe dzioby.  
  
Od sztachet, snując kurz  
Na trawy i na chwasty,  
Słońcem pocięty wzdłuż  
Upada cień pasiasty...  
  
Trzeba mi grodzić sad,  
Trzeba mi zboże młócić!  
Przyszedłem na ten świat —  
I nie chcę go porzucić!...

**SKOŃCZONOŚĆ**  
  
Tyle pieszczoty,  
Co dla czworga rąk.  
A ty, zmierzchu złoty,  
Konaj wpośród łąk.  
  
Dal w błękicie,  
I różna łódź!  
Trzebaż było życie  
Z ową dalą skuć?...  
  
Wieczór stroni  
Od zielonych bruzd.  
Dłoniom zbrakło dłoni,  
Ustom zbrakło ust!  
  
Szczęście, co od słońca  
Wzięło czar i kres,  
Dobiega do końca,  
Unikając łez.

--------------------------------------------------------------------------------------------

REZERWOWA

**TAM NA RZECE**

Tam na rzece jest na pewno łódź,  
Trzeba tylko fale wiosłem pruć.  
  
I na pewno jest za rzeką — dal,  
Trzeba tylko wytężyć swój żal.  
  
Patrzysz na mnie — oniemiała snem  
Nic nie mówisz, a ja wszystko wiem!  
  
Wiem ja kiedy, jak poruszyć mgłą,  
Ciałem twojem, żeby ku mnie szło...  
  
Wiem, jak spojrzeć — i co szepnąć... I znów  
Dłoń do piersi tulić a bez słów...  
  
Chętna ciału — suknia twoja lgnie  
Do tych bioder, co kochają mnie.  
  
Tam na rzece jest na pewno łódź,  
Trzeba tylko fale wiosłem pruć

Wiem ja wszystko! Ale czemu łkam, —  
Tego nie wiem, nie pojmuję sam!...